

Małgorzata Szpakowska

Uniwersytet Warszawski

PERFORMANS W LODACH

Ice-Trapped Performance

Abstrakt: Książka Tomasza Kubikowskiego *Zjedanie psów* (Warszawa 2019) łączy opowieść o dziewiętnastowiecznych wyprawach polarników – Johna Rossa, Williama Edwarda Parry’ego, Johna Franklina, Elishy Kane’a i Fridtjofa Nansena – z pogłębioną koncepcją performansu jako Schechnerowskiego „zachowanego zachowania”. Świetnie napisana, nieledwie powieść podróżniczo-przygodowa, przedstawia podbój Arktyki jako swego rodzaju serię widowisk, które ważność społeczną zawdzięczały opowieściom; bez opowieści właściwie nie warto było pchać się pod biegun i wszyscy wymienieni podróżnicy takie opowieści pozostawili. Autor książki traktuje je jako opowieści antropologiczne, „opowieści o cudzych przeżyciach”; odczytuje z nich także to, z czego podróżnicy nie zdawali sobie sprawy – na przykład to, że tubylcy i ich kultura byli dla przybyszów kompletnie przezroczysti. Zaplecze teoretyczne książki jest dość skomplikowane – autor performatyką zajmuje się od blisko dwudziestu lat; ale całość została (świadomie) napisana tak, by i ci, którzy nie lubią teorii, mogli się nią cieszyć.

Słowa kluczowe: performans, wyprawy arktyczne, performatyka

Abstract: This article discusses Tomasz Kubikowski’s book *Zjedanie psów* [Dog-Eating] (Warszawa 2019), which combines the story of nineteenth-century polar expeditions – by John Ross, William Edward Parry, John Franklin, Elisha Kane and Fridtjof Nansen – with the concept of performance as “restored behaviour,” taken expertly from Richard Schechner. Excellently written, almost like a travel-adventure novel, the book presents Arctic exploration as a sequence of performances that owed their social significance to stories; without a story, getting to the pole was hardly worth the trouble, and all the above-mentioned explorers left such accounts. Kubikowski treats them as anthropological narratives, “stories of someone else’s experience”; he also reads in them what their authors were not aware of: for example, that the natives and their culture were completely invisible to the adventurers. The theoretical background of the book is rather complex, as the author has engaged with performance studies for almost twenty years, yet the book is (deliberately) written in such a way as to be enjoyed also by those who do not care for theory. (*Trans. Z. Ziemann*)

Keywords: performance, Arctic expeditions, performance studies

Tomasz Kubikowski, *Zjadanie psów*, Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszeńskiego, Akademia Teatralna im. Aleksandra Zelwerowicza, Warszawa 2019

Bodaj to mieć do czynienia z autorem obdarzonym nadświadomością. Taki nie tylko napisze, co miał do napisania, nie tylko objaśni narzędzia, jakimi się posługiwał, ale jeszcze zaprojektuje reakcje czytelników. Podzieli ich na takich, którzy głodni są teoretycznego określenia celu, i na takich, którzy cieszą się samą opowieścią. I czują zawód, gdy w połowie książki pojawia się filozoficzne instrumentarium. „Mam tylko nadzieję” – pisze Tomasz Kubikowski – „że zwolennicy opowieści zdołają jednak doczytać rzecz do końca, opuszczając teoretyczne wtręty tak gładko, jak gładko w dzieciństwie pomijaliśmy opisy przyrody w dziewiętnastowiecznych powieściach przygodowych”¹.

Należę niewątpliwie do tej drugiej kategorii odbiorców. *Zjadanie psów* czytałam przede wszystkim jako naprawdę fascynującą opowieść o wyprawach polarnych. Właśnie opowieść, nie historię; powiedzmy więcej: opowieść antropologiczną. Czasem zabawną, czasem przerażającą; zawsze jednak, jak przyznaje sam autor, „opowieść o cudzych przeżyciach” [s. 181]. Z pozostawionych relacji – a liczą się przecież tylko te wyprawy, które zostały opisane – Kubikowski odczytuje zawarte w nich doświadczenie egzystencjalne. Doświadczenie sukcesu, ale jeszcze częściej porażki, skoro żadne z tych przedsięwzięć nie osiągnęło założonego celu.

Ale osiągnęło sławę. Bohaterowie *Zjadania psów*, John Ross, William Edward Parry, John Franklin, Elisha Kane i przede wszystkim Fridtjof Nansen² byli razem bohaterami masowej wyobraźni. Trochę jak dziś himalaishi; zwłaszcza ci, którzy zginęli w górach. Z badaczami Arktyki było w gruncie rzeczy podobnie:

¹ T. Kubikowski *Zjadanie psów*, Warszawa 2019, s. 341. Dalsze cytaty lokalizowane są w tekście głównym w nawiasach kwadratowych. Wyjaśnienia i uzupełnienia w cytatach – T. K., jeśli nie podano inaczej.

² Nie będę omawiać kolejno poszczególnych podróży, wskazywać ich kierunku ani dat; to czytelnik znajdzie w książce Kubikowskiego. Dla ułatwienia podaję jednak daty urodzin i śmierci głównych bohaterów: Ross 1777–1856, Parry 1780–1855, Franklin 1786–1847, Kane 1820–1857, Nansen 1861–1930. Zestawienie pozwala uświadomić sobie różnice pokoleniowe: Nansen urodził się po śmierci wszystkich pozostałych.

pchali się w te zimne morza, bo wiedzieli, że są. Knut Hamsun napisał paszkwil na Nansena w związku z jego przejściem przez Grenlandię w końcu lat osiemdziesiątych XIX wieku: no i co takiego ten Nansen odkrył? Że na Grenlandii jest lód? I czym w gruncie rzeczy różni się taki wyczyn od przejścia po linie nad Niagara? Jak się zastanowić, to w tym pytaniu jest sporo racji.

Inną hipotezę proponuje Kubikowski. Dziewiętnastowieczny podbój Arktyki wziął się, można powiedzieć, z demobilu. Wielka Brytania panowała na wszystkich morzach, wygrała wszystkie wojny – i jej flota w znacznej części stała się bezużyteczna. Wówczas John Barrow – nominalnie Drugi Sekretarz Admiralicji, faktycznie władający marynarką brytyjską – uznał, że skoro Brytania rządzi morzami, powinna je do końca poznać. W ten sposób „stworzył zaczął mitologii, źródłową narrację nadającą sens polarnym trudom” [s. 39]. Z jego poręki wyruszyli w głąb Arktyki trzej pierwsi z wymienionych bohaterów *Zjadania psów*. Kolejny, Kane był Amerykaninem: tu już zaczęła się arktyczna rywalizacja anglo-amerykańska. A wreszcie Norweg Nansen wyruszył z Bergen żegnany przez rozentuzjasmowany tłum, ze świadomością, że jego podróż w głąb Arktyki odbywa się za publiczne pieniądze.

Zasadniczą część wypraw polarnych stanowi zimowanie, wmarzanie w lód. Statki płyną, póki się da, potem lód je unieruchamia. Trzeba czekać do wiosny. Trzeba również liczyć się z tym, że postój może potrwać kilka lat. I przez dużą część czasu – w ciemności. Pierwsza ekspedycja Rossa skończyła się kompromitacją, ponieważ zawrócił przed zimą, uznawszy „Góry Crokera”, jak się okazało, fatamorganę, za zamknięcie Morza Baffina; jak pisze Kubikowski, niezycliwy Rossowi Barrow wytknął mu, „że obydwaj jego okręty powróciły nietknięte, załoga zaś – w dobrym zdrowiu” [s. 62]. Następcy zimowali już w lodzie, zresztą i Ross w kolejnej wyprawie wmroził się ze swoim statkiem na dłużej. Statek zatem musiał być pensjonatem i spiżarnią z zapasami na miesiące, nawet na lata. I czasem tych zapasów wystarczało, a czasem nie.

Zimowanie wyprawy Parry’ego było jak na bieguna luksusowe. Szkorbutowi zapobiegano, pijąc piwo i jedząc kwaszoną kapustę i pikle. Marynarzy trzeba było czymś zająć, więc obowiązywał ich program ćwiczeń fizycznych. Poza tym założono teatr i gazetę. Wystawiano farsy, czasem pisane na gorąco, a gazeta głosiła pochwałę wesołości (która zazwyczaj jest cnotą prywatną, lecz noc polarna czyni ją obowiązkiem publicznym). Artykuły były anonimowe, sygnowane śmiesznymi pseudonimami; powstawały także wiersze: „Jak w *Dekameronie* – zabawy literackie okazały się najlepszym środkiem, aby w nieludzkich warunkach nie zwariować” [s. 78]. Relacja Parry’ego jest na ogół dziarska, choć oczywiście zdarzały się kłopoty. Jakiś pożar, szkorbut, odmrozenia, a bosman w depresji zapił się na śmierć. Wokół wyły wilki i trwał „śmiertelny bezruch najposępniejszego pustkowiecia” [s. 81] – to Parry.

Podczas swojej drugiej wyprawy Ross zamroził się na trzy lata; z nadatkiem zaznał „nicości arktycznego trwania” [s. 118]. Pisał: „widzieć i mieć w oczach

lód i śnieg na zawsze, czuć śnieg i lód na zawsze, i nic już na zawsze, tylko lód i śnieg” [s. 122]. Dręczyła go nuda, brak towarzystwa; z tej nudy i zniechęcenia filozofował. A przecież on jeden mógł mówić o sukcesie; bo to właśnie tym razem odkryto wreszcie biegun – ten magnetyczny, „gdzie igła kompasu zwracała się pionowo w dół” [s. 129]. Toteż po powrocie fetowano Rossa jak mało kogo, „Sam król zaprosił kapitana na obiad, po czym dał mu szlachectwo” [ibidem]. Bieda w tym jednak, że to nie Ross dokonał odkrycia, lecz jego bratanek, James Ross, podczas wycieczki w głąb łądu. Tymczasem John Ross sobie przede wszystkim przypisywał zasługę, bo przecież to on był dowódcą wyprawy.

Zimował także Elisha Kane. Początek jego relacji z pierwszej wyprawy przypomina kronikę kulinarną.

Wczoraj nasz francuski kucharz Henri podał nam sałatkę z alk, wartą [paryskiej restauracji] „Trois-Frères [Provençaux]”. Dzisiaj zaś napawałem się arktyczną imitacją nadziewanej kuropatwy. Niedźwiedzina jest mocna, bardzo mocna i ponadto kapryśna; nigdy nie daje się przewidywać. [...] Foka i na bezrybiu będzie sobą – nie rybą; przy odrobinie cierpliwości i sporej ilości pikantnego sosu tworzy jednak wyśmienite danie [s. 188–189].

I tak dalej. Z biegiem czasu jednak ton opisu się zmienia. Z powodu zimna cała załoga, trzydziestu mężczyzn, koczuje w międzypokładzie: „Wilgotne futra, brudne swetry, zdjęte buty, pożywienie, dym tytoniowy i przemiana materii łączą swe wyziewy wokół mnie i we mnie” [s. 190]. Egzystencję przerosło obrzydzenie, *l'abject*, zanikł entuzjazm, ludzie stali się „smętni i drażliwi”. Żeby się rozerwać, opowiadali sobie sny; wzorem Parry’ego urządzili też teatr. Wrócili z ulgą.

W kolejnej wyprawie Kane wraz z załogą zimował w lodzie przez dwa lata; tym razem dla ciepła urządzili w głębi kadłuba coś w rodzaju igloo wyłożonego mchem („im ciaśniej, tym cieplej”). W tej relacji – pisze Kubikowski – jest już mniej obrzydzenia, choć warunki były równie ciężkie: tym razem „Kane śmiało wkroczył w Kristevowską sferę *l'abject* czy raczej pogodził się, że owa sfera go wciągnęła” [s. 196]. Dlatego przetrwał. Czy zachował przy tym równowagę ducha – trudno orzec; w każdym razie paranoiczny konflikt z jednym ze współtowarzyszy o tym nie świadczy. Kane mianowicie całkiem poważnie podejrzewał, że ów dybie na jego życie. Ów – William Godfrey – po powrocie wydał nawet książkę z własną wersją wydarzeń; nie zdołał się jednak przebić przez sławę, jaką cieszył się Kane.

Gdy prochy Kane’a wróciły do ojczyzny [zmarł w Hawanie – M. S.], żałobny pociąg, którym je przez całe wschodnie wybrzeże wieziono, ustąpił ponoć świetnością dopiero późniejszemu o osiem lat konduktowi prezydenta Lincolna [s. 210].

Obie wyprawy Kane’a należały, pisze Kubikowski, do „nekromantycznego festiwalu poszukiwań Franklina” [s. 183]. John Franklin był trzecim wysłannikiem Barrowa; wyruszył równoległe z Parrym, ale tym razem łądem. Gdzieś na pół-

nocnym wybrzeżu Kanady mieli się ostatecznie spotkać. Franklin był umiarkowanie predysponowany do roli wędrowca: miał nadwagę, złe krążenie, nie umiał polować ani kierować czółnem, wreszcie nie mógł się obyć bez herbaty o piątej. „Wyprawa była źle zaopatrzona, niestarannie zaplanowana i źle zorganizowana” [s. 92]. Dwa lata szli przez lasy; w trzecim roku doszli do ich skraju, zbudowali tam dwie chaty nazwane Fortem Przedsięwzięcia i ruszyli dalej przez tundrę do morza. Popłynęli morzem na wschód, potem wracali lądem. Zima przyszła wcześniej, niż liczyli, brakowało żywności, panowało rozprężenie. „Plan wspólnego przetrwania zaczął coraz wyraźniej rozpadać się w szereg planów przetrwania indywidualnego” [s. 94]. Kilku umarło po drodze, reszta ostatkiem sił dotarła do Fortu, gdzie miała czekać żywność dostarczona przez Indian zgodnie z wcześniejszą umową. Ale nie czekała. Kręcili się w kółko, niezdolni do dalszej drogi. W końcu uratowali ich wezwani na pomoc tubylcy, którzy tłumaczyli się, że wbrew umowie nie zaopatrzyli Fortu w żywność, bo nie wierzyli, „że z tak głupio pomyślanej wyprawy ktokolwiek w ogóle wróci żywy” [s. 100].

Wyprawa była katastrofą, nie osiągnęła planowanych celów badawczych, z dziewiętnastu uczestników jedenastu zapłaciło za nią życiem. Mimo to w Londynie uznano Franklina za bohatera. Głównie dzięki sile relacji, jaką po powrocie udało mu się przedstawić; zasłynął jako człowiek, który zjadł własne buty. „Wyszlifowana narracja” uczyniła z kłęski alegorię, Franklin wrócił z wyprawy jako Książę Niezłomny, „dał obraz człowieka odartego z wszelkich schronień, poddanego wszelkim niszczącym siłom i borykającego się z groźbą eschatologicznego rozpadu” [s. 107]. Wpisal się w romantyczny gust epoki, a przede wszystkim zadowolił Barrowa, który oczekiwał „bardziej sensów zdobytych niż zdobyczy geograficznych” [s. 105].

Franklin swoją mroczną niezwykłość spotęgował dodatkowo, kiedy po kilku latach po prostu znikł. Wyprawił się w Przejście Północno-Zachodnie i znikł razem z załogą i dwoma znakomicie wyposażonymi moździerzowcami zabezpieczonymi przed lodem, chłodem, nudą i głodem. „Znikł doskonale, znikł absolutnie, znikł [...] ze wszystkimi i nie zostawił żadnych śladów” [s. 107]. Nic lepszego nie mogło przydarzyć się legendzie. Szukano Franklina uparcie, jak nikogo innego; akcja poszukiwawcza – zauważa Kubikowski – zakończyła się dopiero w roku 2016, kiedy znaleziono wrak jednego z okrętów Franklina, HMS Terror.

Pół wieku późniejsza wyprawa Nansena była już zupełnie inna; razem z nią wkracamy w nowoczesność. Dowódca był świetnie przygotowany, podobnie jego statek Fram, „cud myśli inżynieryjnej” [s. 245], gdzie nawet zainstalowano światło elektryczne (dynamo napędzane przez wiatrak); prawie jak Nautilus z powieści Verne’a. Droga do bieguna (inaczej niż poprzednicy Nansen planował po zamrożeniu statku dryfować z lodem) miała być sprawdzianem wartości naszej cywilizacji i techniki. Był też wątek patriotyczny: Norwegia dojrzewała do

referendum niepodległościowego i Nansen wybrał do załogi samych Norwegów (lekarz Szwed też się podał za Norwega).

Dopłynęli do północnego brzegu Rosji, skąd zabrali psy, nieodzowne w zaprzęgach, gdyby przyszło podróżować łądem. A potem płynęli i płynęli na wschód, aż „łód zamknął drogę, a na pokładzie ujawniły się wszy” [s. 264]. Zgodnie z planem statek wmarzł w lód; mimo wszy „rozkoszowali się bezpieczeństwem, samowystarczalnością, jednostajną rutyną doby” [s. 266]. W zasadzie nie mieli nic do roboty, kuchnia wydawała posiłki naprawdę godne dobrej restauracji (jadłospisy na stronach 286–287), zapanowała, jak pisze Kubikowski, niezmacona mieszczańska idylla. Czasem tylko mąciło ją szczekanie; „nie ma cienia szlachectwa w tych kundlach” [s. 273] – gorszył się Nansen.

„Nigdy nie prowadziłem bardziej sybaryckiego życia” [s. 275] – zapisał gdzie indziej. Przez dwa lata nudził się, tył, czytał Schopenhauera. Za dobrze wszystko wymyślił i pozostało mu tylko oglądanie efektów „własnego przeszłego geniuszu, z którego nic już teraz więcej nie wyciągnie” [s. 283]. Cel wyprawy jakby się rozmył: zgodnie z planem mieli przedryfować koło bieguna, nie osiągając samego punktu zero. „Zysk dla nauki [...] może zbliżony, dla egzystencji natomiast to klęska” [s. 294]. Postanowił porzucić statek i załogę, zabrał psy, narty, sanie, kajaki. Na jedynego towarzysza wybrał lekarza Hjalmara Johansena i ruszyli do bieguna piechotą.

Tym razem było naprawdę ciężko, „Arktyka dała im nareszcie w kość” [s. 304]. Było zimno, w lodzie, po którym maszerowali, były rozstępy, cieki wodne, obchodzili je, nadkładając drogi. Psy się gryzły, niektóre nie wytrzymały wysiłku, opóźniały pochód – a nie można było słabszych po prostu zostawić, bo stanowiły ruchome pożywienie, ruchome mięso dla reszty sfory. Zresztą także Nansen i Johansen w momencie kryzysu pili psią krew.

I nie doszli. Pole lodowe, po którym się poruszali, sphywało na południe, efekt był taki, jakby dreptali w miejscu. Musieli zawrócić. Do bieguna zabrakło im około czterystu kilometrów. Mapy nie zgadzały się z pomiarami, ostatecznie stracili orientację, nie wiedzieli, gdzie są. Teraz chodziło już tylko o to, żeby przeżyć. Gdy dotarli do morza, zastrzelili ostatnie dwa psy – na początku było ich dwadzieścia osiem – bo nie mogli ich zabrać do kajaków. Płynęli, póki się dało, aż morze zamarzło i musieli jeszcze raz zimować – we dwóch, w namiocie, polując na morsy. Tak przeżyli trzecią w tej wyprawie noc polarną; jak zapisał Nansen, przeważnie spali.

Z wiosną popłynęli dalej, nadal niepewni, gdzie są. I w końcu, dobijając do kolejnej wyspy, usłyszeli szczekanie. A dalej było, jak w anegdocie o Stanleyu i Livingstonie: nie tylko natknęli się na ludzi, ale w dodatku na znajomych – na angielską ekspedycję polarną. I po piętnastu miesiącach mogli się nareszcie umyć.

Obraz psów, które biegają przez lodowy bezkres, aby sukcesywnie zjadać się nawzajem, jest w gruncie rzeczy potworny. Dobrze też tłumaczy tytuł książki Kubikowskiego. Ale w wyprawach polarnych kanibalizm nie ograniczał się do psów.

Mroczna legenda wyprawy Franklina nie z czego innego przecież się wzięła. Zmierzający do Fortu Przedsięwzięcia pozostawili za sobą dwójkę zbyt słabych towarzyszy; łącznikiem między tamtymi a grupą Richardsona (drugiego kronikarza wyprawy) został Irokez o chrześcijańskim imieniu Michel. Ów Michel przynosił głodującym w Forcie świeże mięso, rzekomo wilcze. „Bez namysłu wtedy mu wierzyliśmy, potem jednak – z okoliczności, których szczegółów oszczędzę – wnieśliśmy przekonanie, że były to kawałki ciał Belangera lub Perraulta” – zapisał Richardson [s. 99]. Indianina zastrzelili, pełni grozy. Niewykluczone jednak, pisze Kubikowski, że wszystko odbyło się inaczej, że to Anglicy zjedli swoich towarzyszy, a winę zrzucili na Michela. Ale to dwugłos Franklina i Richardsona, ich „samopotwierdzająca się narracja” budziła podziw i grozę. Krajowiec, jak zwykle, nie miał głosu. Od czasu Franklina jednak wyprawy polarne straciły wzniosłość: w ludożerstwie, zauważa Kubikowski, wzniosłości nie ma. „Przecież pan Pickwick nawet w więzieniu za długi nie mógłby odnaleźć się z obgryzioną kością szpikową kolegi w rękach. I co robić, skoro go właśnie w takiej sytuacji zastano” [s. 158].

To nie był jedyny taki przypadek. Kubikowski odnotowuje jeszcze amerykańską wyprawę pod dowództwem porucznika Adolphusa Greely’ego, która miała założyć stację polarną na Wyspie Ellesmere’a na północnym końcu Kanady. Ani Greely, ani jego ludzie nie mieli wcześniej do czynienia z Arktyką; w dodatku była to ekspedycja wojskowa i regulamin górował nad rozsądkiem. W drodze powrotnej zatrzymała ich zima; „Historia tego zimowania jest bodaj najstraszniejszą z arktycznych opowieści”, jest to „monotonna kronika śmierci głodowej” [s. 348], w dodatku fatalnie napisana. Z dwudziestu czterech uczestników przeżyło sześciu, których w końcu odnalazła ekspedycja ratunkowa; tych z honorami odwieziono do ojczyzny. Ale potem rodziny zmarłych zażądały ich ekshumacji. I okazało się, że wykopane ciała są niekompletne. „Nie było wątpliwości: zjedli towarzyszy. I przeżyli” [s. 349].

To prawda: warunki, w jakich odbywały się dziewiętnastowieczne wyprawy, wydają się skrajne. Co nie zmienia faktu, zauważa Kubikowski, że tereny, przez które przedzierali się polarnicy, były przynajmniej częściowo zamieszkałe. Odnotowują to kronikarze: a to wokół Fortu Przedsięwzięcia pojawiali się jacyś Indianie, a to członkowie wyprawy Kane’a natknęli się na Inuitów.

Jak to możliwe, żeby w stronach, gdzie ludzie od pokoleń żyją szczęśliwie, mnożą się i prosperują, zmarniały załogi dwóch świetnych okrętów? Dlaczego [...] marynarze Franklina szli, przewracali się i marli na oczach tubylców [s. 196].

Dlatego, odpowiada Kubikowski, że krajowcy byli dla polarników przezroczyści. „Stanowili część przyrody, podobnie jak wilki, morysy czy niedźwiedzie” [ibidem]. Wędrowcom nie przychodziło do głowy, że mogliby się do tamtych upodobnić lub na nich wzorować.

Ilustracją są tu dwie wyprawy Kane'a. Podczas pierwszej, jak pamiętamy, poraża go smród „trzydziestu trzech ciężko odzianych mężczyzn” [s. 190], zmuszonych do współbywania w niewielkiej przestrzeni; *l'abject*, wstręt jest tam wyraźnie obecny. Tubylcy natomiast stanowią co najwyżej część scenografii: „Prawdziwi, niekłamani Esquimaux!” [s. 188] – entuzjazmuje się Kane. W drugiej wyprawie jest już inaczej. Przybysze zaczynają uczyć się od krajowców. Pomieszczenie na statku podczas zimowania nazywane jest małym igloo i wyłożone mchem na wzór siedzib Inuitów. Dieta Inuitów okazuje się racjonalna, a brud i kolektywne gnieźdzenie się w niewielkich lodowych norach uzasadnione koniecznością zachowania ciepła. Te zwyczaje są wynikiem przystosowania, odwiecznej praktyki. I choć trudno Kane'owi przypisać prekursorstwo w odkryciu relatywizmu kulturowego, choć o obyczajach Inuitów pisał, że pozbawieni są wrażliwości na to, co obraża „wzrok, dotyk i węch człowieka cywilizowanego” [s. 197], to jednak praktykując przetrwanie na wzór krajowców – bardzo zbliżył się do nich.

Inni natomiast zachowywali dystans nie do pokonania. W pierwszej wyprawie Ross natknął się na szczerp północnych Inuitów, którzy w ogóle nie wiedzieli, że jest jakaś ludzkość poza nimi; Ross „z protekcyjnością snoba” [s. 47] porównał ich do zwierząt. A to dla ich niezajomości takich wykwitów cywilizacji zachodniej, jak lustro i zegarek. W trakcie drugiej wyprawy zmiękł; przyznał, że w monotonii zimowego bytowania ulgę przynosiły mu kontakty z krajowcami, których wszelako określał w swojej książce jako „brudne i żarłoczne okazy ludzkie” [s. 122]. Franklin zaś, jak już wiemy, przez Irokeza Michela „wciągnięty został w czarną komunę kanibalizmu” [s. 99]. Słowem: ci, którzy odbiegają od naszej cywilizacji, to albo zwierzęta, albo zbrodniarze.

Kubikowski pisze, że relację między Franklinem a Michelem można rozpatrywać w kategoriach Heglowskiego wywodu na temat pana i poddanego (w przekładzie Landaua – niewolnika). Bardzo upraszczając: człowiek jest istotą samowiedną, dbającą o swoje bezpieczeństwo, w tym także o zapanowanie nad innym człowiekiem, który mu potencjalnie zagraża. I który też jest samowiedny. Samowiedza – tu Kubikowski cytuje Hegla – „musi dążyć do zniesienia innej samoistnej istoty, aby stać się przez to pewną siebie jako istoty” [s. 102]. Z tym Innym odbywa więc walkę na śmierć i życie, bo Inny też by chciał mieć pewność. Zwycięzca osiąga samowiedzę czystą, jest w tym starciu panem; pokonany natomiast pozostaje niesamoistny, przykuty do bytu, lecz zyskuje bezpieczeństwo. Ale potem sytuacja się odwraca: pokonany, ścierając się z rzeczywistością, zyskuje samoświadomość i siłę; pan natomiast spoczywa na laurach i coraz bardziej uzależnia się od poddanego. Jeśli rozumiem Kubikowskiego, Michel polując i dbając o wyżywienie swoich panów, znalazł się właśnie w sytuacji wyzwającego się niewolnika. „Dlaczego Irokez nie miałby mieć wyczucia dialektyki, w którą go wpędzono?” [s. 103] – pyta autor książki.

No dobrze, a co to wszystko ma wspólnego z teatrem?

Z teatrem niewiele. Natomiast to, o czym opowiada Tomasz Kubikowski, jest w jego ujęciu wielkim performansem. Zdaniem Richarda Schechnera, którego myśl Kubikowski rozwija od blisko dwudziestu lat, performansem może być praktycznie wszystko; w dawnej dyskusji w redakcji „Dialogu” performatyka nazwana została „kluczem do wszystkich zamków”³. Performans jest – najogólniej – aktualna czynność oparta na jakimś nieobecny wzorze; Schechner nazywał to „zachowanym zachowaniem”, a inny klasyk performatyki, Marvin Carlson, tłumaczył, że performans zachodzi, gdy „aktualnie wykonywaną czynność porównujemy w myślach z inną wersją tej czynności – wersją potencjalną, idealną bądź też częściowo lub w pełni zapamiętaną wersją oryginalną”⁴. Przedstawienie teatralne jest oczywistym performansem, ale performansem jest też praktycznie każda moja czynność. „Świadome ciało, którym jestem, teatralizuje się nieustannie, żyje performatywnie, tworzy sceny, role i dramaty”⁵ – pisał Kubikowski w *Regule Nibelunga. A w Zjadaniu psów*: „Performans jest [...] zderzeniem inicjowanych przez nas procesów instrukcji z obiektywnymi procesami selekcji, którym podlegamy. Jest naszym podstawowym sposobem na przetrwanie” [s. 168].

Dziewiętnastowieczne wyprawy polarne były występami odgrywanymi przed ogromną, międzynarodową widownią; były nimi jako realizacje wzorców już znanych publiczności, i były nimi również jako opowieści spisywane przez uczestników możliwie najszybciej po powrocie. „Książka stanowiła wówczas integralną część wyprawy” [s. 63] – wielokrotnie podkreśla Kubikowski. Ross, który pisał kiepsko, przeżywał udrukę, że jego doświadczenie będzie daremne, jeśli „nie zdoła należycie okazać innym swych działań i przeżyć” [s. 174]. Można by powiedzieć, że w tym ujęciu prawdziwym celem zdobywców Arktyki był udany performans, widowisko; że ich zmagania były w istocie tylko czy aż działaniami na pokaz.

Może więc ostatecznie uda się w nich dopatrzeć jeśli nie teatru, to przynajmniej teatralności. Tym bardziej później, gdy już zdano sobie sprawę z utylitarne go bezsensu wytyczania szlaków w Arktyce czy nawet zdobywania bieguna. Wtedy została tylko scena i aktorzy.

A za kulisami czasem śmierć.

³ W. Dudzik, D. Kosiński, T. Kubikowski, M. Leyko, D. Ratajczakowa, *Klucz do wszystkich zamków*, „Dialog” 2007 nr 7–8.

⁴ M. Carlson, *Performatyka wczoraj i dziś*, przeł. E. Kubikowska, „Dialog” 2007 nr 7–8, s. 120–121.

⁵ T. Kubikowski, *Regula Nibelunga. Teatr w świetle nowych badań świadomości*, Warszawa 2004, s. 291.